

Załącznik do przypisu 5

Andrzej Mencwel, Karol Modzelewski

(Rozmowa nagrana 16 stycznia 1998, zredagowana we wrześniu 2008 roku przez A.Mencwela, autoryzowana przez K.Modzelewskiego)

Andrzej Mencwel: Może zaczniemy od mojej sytuacji między marcem a czerwcem 1968 roku. Jak sobie przypominam, zostałem aresztowany około połowy czerwca, można by to sprawdzić w gazetach, bo miałem iść w niedzielę na mecz Polska-Brazylia – ale już na ten mecz nie doszedłem, a był on chyba 18 czerwca. W każdym razie między marcem a czerwcem moja sytuacja jest osobliwa. Osobliwość tej sytuacji polega po pierwsze na tym, że na samym początku, 8-ego czy jeszcze przed 8, zostaliście wy wszyscy aresztowani: Ty, Jacek, Adam i kilka innych osób. Ja się znalazłem w takiej sytuacji, która dla mnie była niechciana. Muszę to jasno powiedzieć. To znaczy, ja wcześniej byłem przeciwny temu, żeby urządzać tę manifestację i w ogóle byłem raczej w reformistycznym, mówiąc skrótowo, usposobieniu, niż buntowniczym, manifestacyjnym. Skąd to usposobienie się brało – to by trzeba sięgać daleko w przeszłość, ale z grubsza biorąc tak było. Teraz znalazłem się w takiej sytuacji, że skoro wy żeście zostali aresztowani, to trzeba było coś zrobić. Jak dziś widzę, z perspektywy, tamten system miał cudowną zdolność wytwarzania takich podwójnych sytuacji, w których splotów moralnych i politycznych nie dawało się rozciąć. To znaczy nie można było zająć stanowiska solidarnego z aresztowanymi, żeby zarazem nie stanąć w sytuacji opozycji politycznej. I pierwsze działania które podjąłem sam z kolegami ówczesnymi, którzy jeszcze nie byli aresztowani, to było chyba na urodzinach Włodka Kofmana, z Jankiem Grossem i kimś jeszcze. Uznaliśmy, że trzeba tutaj coś organizować i myśmy zorganizowali – to był mój pomysł – taką akcję profesorów. Janek pojechał do Krakowa, do Konstantego Grzybowskiego, ja się udałem do Stefana Żółkiewskiego. I jakiś taki list profesorów – nie pamiętam, czy on był potem publikowany gdzieś czy nie – został sporządzony. Ilu się pod nim podpisało tego już nie pamiętam. Wszelako z każdym następnym dniem dynamika wydarzeń rosła. Ta sytuacja z tym listem i z wyjazdem Janka do Krakowa, to jest chyba noc z 8 na 9 marca. Dynamika wydarzeń rośnie i ja jestem, prawdę mówiąc, tymi wydarzeniami coraz bardziej przerażony. Przerażenie moje polega na tym, że mam takie wrażenie, że nikt tego nie kontroluje, że te manifestacje są podsycane także ze strony jakichś

odłamów kryjących się w aparacie władzy, co zresztą rzucało mi się w oczy już 8 marca. Byłem na dziedzińcu 8 marca i widziałem oczywiście prowokacyjną akcję tych, którzy wkroczyli na ten dziedziniec i którzy zachowywali się tak, jakby ich zadaniem było roznieść akcję po całym mieście, żeby ci, którzy zostaną stąd wykurzeni, a właściwie wybici, żeby to roznieśli po całym mieście. Takie miałem wówczas przeświadczenie. Niemniej jednak wydarzenia rosły i ja ciągle z powodu ówczesnej sytuacji koleżeńskiej, następną grupę kolegów, w tym Irenę Grudzińską, Janka Grossa i już nie pamiętam kogo, zamknięto około 12 marca. A ja się znalazłem w takiej sytuacji, w której miałem kontakt z jedną jedyną już właściwie osobą, która została z waszego kręgu, a która odgrywała znaczną rolę w utworzonym w międzyczasie Komitecie Studenckim, to był Olek Perski.

Karol Modzelewski: A Teresa Bogucka nie była tam?

A. M.: Teresa Bogucka zapewne była, ale ja z nią nie miałem kontaktu. Natomiast miałem stałe robocze kontakty z Olkiem Perskim i do dziś jak wchodzę do Pałacu Kazimierzowskiego i skręcam w prawo, to widzę tam pod ścianą klubu krzesła, których już dawno nie ma. Otóż myśmy się regularnie w toku marca spotykali na tych krzesłach i wymieniali opinie, po czym on biegł na kolejne posiedzenia tego Komitetu, a ja wracałem na swój wydział, gdzie zachowywałem się zresztą dyskretnie i spokojnie. Druga taka ekipa działała na wydziale filozoficznym i jej liderem był Kuba Karpiński, któremu zawsze wypadały z kieszeni marynarki jakieś rezolucje czy ulotki. I to się tak toczyło. Pamiętam też, że od pewnego momentu – ponieważ Olek, nie wiem dlaczego, uważał mnie za osobą rozsądną, taką, która udziela rozsądnych rad – że więc ja od 15 marca mniej więcej, w każdym razie w drugiej połowie marca mówiłem, że ponieważ to jest rozhuśtane i nie wiadomo czym się skończy i nie wiadomo, czyje tu się kryją interesy, należy zmierzać do tego, żeby to kończyć w godny sposób. Przy czym za ten godny sposób został uznany – nie pamiętam, którego to było dokładnie, 28 marca chyba – ostatni wielki wiec w Audytorium Maximum, na którym została przyjęta Deklaracja Ruchu Studenckiego. Deklarację tę pisaliśmy w nocy z Jadwigą Staniszkis i z Jakubem Karpińskim. Dokładnie rzecz biorąc – redagowaliśmy, ponieważ były to materiały z całego kraju, z wielu uczelni. Więc to było tylko nadawanie ostatecznej postaci stylistyczno-formularnej temu materiałowi. On zresztą został jakoś tam zmieniony, bo Olek, z którym się widziałem właśnie na tych krzesłach na chwilę przed tym wiecem, mówił, że coś tam było jeszcze zmieniane i ostateczna wersja pewnie różni się od tej, którą my tam żeśmy

zredagowali. Moje postępowanie w tym okresie jest mniej więcej jasne, umiem je względnie dobrze wytłumaczyć. Zasadniczo rzecz biorąc, choć uważam, że to, co się stało, nie stało się tak, jak ja bym sobie życzył, jednak racje związane z całym ruchem studenckim są oczywiste, solidarność z tymi, którzy zostali aresztowani też jest nienaruszalna, należy jednak postępować tak, aby minimalizować straty. I do tego momentu myślę, że moje zachowanie daje się racjonalnie wyjaśniać. Nie wiem, czy to, co powiedziałem nie jest zbyt ogólne.

K. M.: Dla mnie to jest mnóstwo nowych informacji, bo ja wielu rzeczy nie wiedziałem o tobie z tego okresu. Nikt mi tego właściwie nie opowiadał po moim wyjściu z pudła.

A. M.: Do dziś myślę z największą serdecznością o Olku, którego nie widziałem od tamtego czasu i w ogóle nie wiem, gdzie on jest, co robi. Naprawdę warto wiedzieć, że oprócz tego, że dla mnie był miły uważając mnie za osobę rozsądną, to on naprawdę wiele nici trzymał wtedy w ręku. To jest – nie chcę nadużywać słów – cichy bohater tego decydującego marcowego okresu. Zresztą ja na pewno nie byłem jedyną osobą, z którą on rozmawiał, ale byłem jedną z tych, z którymi miał względnie stały kontakt. Potem były jeszcze takie przedsięwzięcia, już po tym 29 marca, na które dwukrotnie lub trzykrotnie zostałem zaproszony - kontynuuję tę linię, na razie abstrahując od sytuacji osobistej. To znaczy na jakichś dwóch mniej więcej spotkaniach byłem u Julii Brun, na których schodziła się ekipa tych, którzy się jeszcze ostali.

K. M.: Julia ? - to była dziewczyna, rówieśniczka młodych, czy to jakaś starsza pani?

A. M.: Nie, to była dziewczyna, studentka filozofii pierwszego lub drugiego roku, trochę młodsza od Olka, Janka i innych, wnuczka Juliana Bruna chyba. I u niej w mieszkaniu, to było koło skrzyżowania Chełmskiej i Belwederskiej, w jednym z takich punktów, odbyły się ze dwa takie spotkania, na których ci młodzi ludzie, Gienek Smolar je tam chyba organizował, zastanawiali się, co tu robić dalej. Ja na tych spotkaniach mówiłem, że na razie nie należy robić niczego, położyć uszy po sobie i czekać, co przyniesie czas. Ponieważ ja byłem przekonany, że nastąpiła totalna klęska.

K. M.: Ale to nie było wtedy jeszcze widoczne.

A. M.: Nie dla wszystkich. Ja byłem przekonany, że to jest totalna klęska, daleko idąca: na uczelni, w środowisku, w życiu umysłowym. Był jeszcze taki jeden epizod, który niedawno sobie przypomniałem, bo spotkałem Gienka Smolara. Rzecz działa

się na początku, może w połowie kwietnia, już na wiosnę, mieszkałem na dalekim Mokotowie, koło skoczni narciarskiej wynajmowałem taki pokój w suterenie. Kiedyś wracam z miasta i ktoś na mnie wyskakuje z krzaków. Czasy były takie, że się trochę wystraszyłem. A to był Gienek Smolar, który czekał na mnie tam w tych krzakach ukryty. I on mi zaproponował wydawanie pisma. Wszystko wedle niego miało już być zorganizowane.

K. M.: Nie chodziło wtedy o „Aneks”?

A. M.: Nie, „Aneks” powstaje kilka lat później. To jest kwiecień 68 roku. Że ja miałbym pisać i redagować, redagować właściwie. Zapewniał mi pełną konspirację i bezpieczeństwo.

K.M.: Ale nie pisma na zachodzie?

A.M.: Nie, tu podziemnego. Ja miałbym redagować, a on brał na siebie całą technikę, która jego zdaniem jest już gotowa. Ja mu odmówiłem, w takich mniej więcej słowach, które pamiętam, bo się nimi kilkakrotnie posłużyłem. Ponieważ ja się znajdowałem socjalnie, jeśli tak można powiedzieć, w dość dwuznacznej czy dwoistej sytuacji: z jednej strony miałem te związki z wami, a właściwie z młodszymi kolegami, a z drugiej strony byłem dość silnie zakorzeniony w kręgu ludzi mieszkających w akademiku, bo sam w nim mieszkałem sporo lat i duża część moich innych kolegów była stamtąd. A byli wśród nich tacy, moi przypadkowi, że tak powiem koledzy, którym się dało jedną ulotkę i którzy nawet nie bardzo wiedzieli, o co chodzi...

K.M.: Ale ją przepisali...

A.M.: Tak, albo co gorzej, złapano ich za rękę, wyrzucono z uczelni i los ich został na długie lata przesądzony. A mogli jeszcze zostać wcieleni do wojska. Ja takie przypadki znam, za jeden czy dwa czułem się osobiście odpowiedzialny. Wtedy powiedziałem Gienkowi, że być może wszystko będzie tak bezpieczne dla mnie, jak mówi, tylko kogoś tam złapią z tą gazetką, a ja nie mam siły czuć się za to odpowiedzialny. I dlatego ja tego robił nie będę. To była jedna jedyna rozmowa, jaka się na ten temat odbyła i więcej się on do mnie nie zwracał. I zresztą chyba w tym okresie nic takiego nie powstało, bo jeśli powstało to później. Następną podobną rozmowę miałem z Jakubem Karpińskim, która się zresztą odbyła pod koniec kwietnia w Zakopanem. Z tym się wiąże wątek osobisty, który polegał na tym, że trudno było to wszystko wytrzymać psychicznie. Trudno było wytrzymać to, że wszystkich zamknęli, a ciebie nie, ale o tym potem...

K.M.: Irena od kiedy siedziała?

A.M.: Od 12 mniej więcej marca. Ale wątek osobisty chciałbym pozostawić na sam koniec. Ten wątek osobisty nie zmienia moich poglądów i pozycji, on tylko zwiększa napięcie. Jakub już wtedy kombinował to, co jak się domyślam, doprowadziło do „sprawy taterników”. Mieszkaliśmy w Murowańcu czy też w „betlejemce” na Gąsienicowej i odbyliśmy wieczorny spacer na Karczmisko, przy księżycu. Ten księżyc dobrze pamiętam i jego propozycję też - on mi zaproponował grę w te książki Instytutu Literackiego i łączność, żeby tak powiedzieć, publikacyjną z paryską „Kulturą”. Ja mu odpowiedziałem dokładnie to samo, co Gienkowi: że ja już nie, z wyluszczonej powyżej powodów. I ten ciąg pokazuje linię moich zachowań, które można nazwać politycznymi. W jednej zresztą linii, bo oczywiście złożoności tej sytuacji jest więcej. Równolegle ja patrzę na to, co się dzieje w oficjalnym życiu politycznym, najpierw w marcu i po marcu widoczna jest głównie warstwa brudnej piany w propagandzie i polityce, ale poza nią skrywa się coś innego, z czym zaczynam wiązać, mówiąc szczerze, pewne nadzieje. To jest cała ta ekipa „młodych”, w jakimś sensie ludzi podobnej mojej genealogii i formacji, choć ja nie byłem wówczas ani w partii ani w żadnej organizacji, którzy cały czas zwyczajają. Jednym z efektów tej obserwacji, tych przemyśleń, jest to, że ja gdzieś na początku maja spotykam się z Krzysiem Pomianem na długą i zasadniczą rozmowę, którą odbywamy, żeby było zabawniej, na okolicznych dzikich polach, w pobliżu Dąbrowskiego, gdzie on mieszkał i mieszka. Tam, gdzie stoją dziś gmachy telewizji, tam były dzikie pola. I myśmy po nich krążyli rozmawiając. I ja mu mniej więcej mówię tak: to co się stało rzeczywiście było okropne, ale, skrótowo mówiąc, być może ukryta racjonalność jest taka, że tutaj te generacje aparatu władzy zostaną wymienione, a z tymi „młodymi” przyjdzie może jakiś nowy oddech, że to się jakoś ułoży, że może oni nawiążą z wami jakiś kontakt i że to w ogóle może będzie jakiś przyczynek do oczekiwanej zmiany. Po co to znowu mówię? Bo nasza rozmowa pozostaje naszą rozmową, tzn. Krzysztof wysłuchuje mnie uważnie, pewne rzeczy pewnie z tego, co ja mówiłem, do niego przemawiają, niektóre na pewno nie. I pamiętam, jak ta rozmowa się zakończyła, ona się zakończyła uznaniem przez niego różnic i zapewnieniem, że te różnice nie wpłyną na naszą przyjaźń. Chodziło o to, żeby ona przetrwała, co zresztą zawsze było dla mnie bardzo ważne. Tak to mniej więcej wygląda. Czyli - krótko mówiąc - w maju ja już myślę tak. Z czasem musiałem się przekonać, że nadzieje moje były płonne, ale nie o to teraz chodzi. Wtedy one w

pewnej mierze tak wyglądały. Co z tego dla mnie wynika? Więzienie tych, którzy siedzą wydaje mi się coraz bardziej absurdalne. Co więcej, w szczególności coraz bardziej absurdalne wydaje mi się to, że siedzą ci młodzi ludzie, których uważam w pewnym sensie za ofiary sytuacji i – muszę to powiedzieć wprost, bo sam dobrze o tym wiesz, gdyż tak napisałem – jestem coraz bardziej skłonny czynić odpowiedzialnymi was czyli ciebie, Jacka, Adama za to, że oni siedzą. To narasta, na to składa się cała osobliwość mojej sytuacji, chcę powiedzieć wracając do momentu mojego aresztowania: ja nie zacząłem zeznawać na skutek udręk więziennych.

K.M.: No tak, to jest jasne.

A.M.: To znaczy, że ja wszedłem do aresztu gotów. Gdyby nie wykorzystano przebiegle moich emocji, gdybym nie był zreżymie podsycany, miałyby to zapewne formy bardziej racjonalne, ale poglądów bym nie zmienił. Ja nie zostałem „złamany” w więzieniu, ja do niego wszedłem zdecydowany.

K.M.: Co przez to rozumiesz, bo dla mnie to jest ważne bardzo.

A.M.: Moja potrzeba rozrachunku gdzieś w maju zaczyna przybierać postać obsesyjną i ja zaczynam coś takiego pisać. Z tym się wiąże się również to, że ja jestem sam, wyaresztowano moich przyjaciół, w każdym razie kilka osób bardzo mi bliskich. Mieszkam sam w tej całkiem wygodnej suterenie, ale codziennie wieczorem biję się tam z myślami. Jeszcze na dodatek ona się znajduje jeden przystanek od komendy głównej milicji, obok której codziennie przechodzę...

K.M.: Jeśli mogę: a jak już jesteś w tej celi więziennej, w końcu z kimś, ale sam, i właściwie jedyny człowiek, z którym rozmawiasz, to jest twój oficer śledczy...

A.M.: Nie.

K.M.: Ale z Wiktorem G. siedziałeś na końcu, a nie od początku.

A.M.: Od początku siedziałem z kimś. Najpierw siedziałem z facetem, który był niewątpliwie uwikłany we współpracę z nimi, taki jakiś nieudany pisarz, jakiś tam dramaturg, co to kiedyś coś publikował, bardzo obyty w środowiskach artystycznych. A potem z Wiktorem G. też nie byliśmy sami, tylko jeszcze mieliśmy takiego „koguta”, jakiegoś byłego prokuratora...

K.M.: Wiem, ja z nim też siedziałem w 68 roku, ale tylko tydzień lub dwa, bo on mnie irytował i zaraz zacząłem mu mówić w celi takie rzeczy, z których wynikało, że ja go przejrzałem... I wymienili mi go na Harasina.

A.M.: Ale jeszcze powiem, co się dzieje przed aresztowaniem, co jakby wzmacnia moje zdecydowanie. Pierwsze jest to, że ja piszę taki tekst, którego nigdy zresztą nie

skończyłem, ale który niestety w jakimś sensie był zawiązkiem „Sprawy komandosów”. Ten zawiązek różnym ludziom pokazywałem w maju. To się nazywało „Intelektualiści a rzeczywistość” a notatki z tego gdzieś jeszcze w papierach posiadam. I to jest gdzieś druga połowa maja. Pomysł jest taki, że za to wszystko odpowiadają ci, którzy tę młodzież do klęski popchnęli. I rozmnożyli te ofiary. Z grubsza rzecz biorąc taki jest nawet nie ukryty, tylko ujawniony motyw tego, co tam próbowałem naszkicować. Choć to nie zostało nigdy dokończony i nigdy też nie było publikowane, ale ja to pokazywałem, między innymi pokazywałem to pani Hani Grossowej, z którą byłem autentycznie zaprzyjaźniony. Drugim aspektem tamtej mojej sytuacji, jest to, że ja byłem za głupi na to wszystko, że znalazłem się w sytuacji, do której nie byłem przygotowany i która mnie wielokrotnie przerastała.

K.M.: Ja muszę powiedzieć, że więcej było takich...

A.M.: Ale ja się znalazłem w takiej sytuacji, że byłem jednocześnie sam w tej suterenie i miałem trzy rodziny do codziennych niemal wizyt. To była rodzina Grudzińskich, rodzina Grossów i rodzina Królów. Jak nie przychodziłem, państwo Królowie, którzy mieszkali niedaleko ode mnie, przy ulicy Naruszewicza, przychodzili do mnie...

K.M.: Marcina Króla też zamknęli już na początku?

A.M.: Tak i nie za wiec, lecz za co innego, o czym dobrze wiem, bo pierwsze zeznanie, jakie tam złożyłem, po którym on został wypuszczony, było właśnie o tym. Zawiadomiono mnie o tym zwolnieniu nazajutrz, abym miał poczucie sukcesu. W tej wcześniejszej, poprzedzającej aresztowanie sytuacji, to ja nie powinienem był tam chodzić, do tych trzech rodzin, bo to cały czas wzmacniało moje poczucie współodpowiedzialności za to, że to ich dzieci zostały pozamykane.

K.M.: Nie sądzę, że nie powinieneś tam chodzić...

A.M.: W każdym razie to był też taki aspekt sytuacji, z której się starałem wywiązać, a której nie potrafiłem udźwignąć, jak się okazało. Bo to wzmacniało tylko pytania: dlaczego, za co, po co i kto za to odpowiada? Do tego dochodzi pewien moment z przełomu kwietnia i maja, może z początku maja. Do tego bez żadnych emocjonalnych uniesień, tak opisowo, jak tylko możliwe, musimy włączyć to, że ja jestem w pewnej relacji z Ireną i z nią koresponduję.

K.M.: Na pewno dostawałeś szybko listy od niej, czy z dużym opóźnieniem?

A.M.: Chyba z opóźnieniem, ale różnie, to było sterowane... W każdym razie konsultowałem się z rodzicami, bo te listy przychodziły na krzyż, albo się zbiegały

albo rozbiegały i ciągle ja tam chodziłem i ciągle myśmy te listy czytali. I analizowali co też z nich wynika. Trzeba powiedzieć, że przynajmniej jedno z rodziców, raczej ojciec, miał za sobą doświadczenie więzienia jeszcze przedwojennego i on wiedział, o co w ogóle chodzi w takich razach. I jest tak, że na początku maja tonacja tych listów się zmienia. I on mi mówi – ja tego nawet nie wyczuwam – że coś się stało, coś zmieniło. Tu muszę nawiązać do tego, co napisał Jacek w „Wierze i winie”, że w maju, na początku maja wiele osób zaczęło zeznawać, ponieważ była jakaś historia szpiegowska, której się wystraszone.

K.M.: Wiem, że były jakieś grypsy puszczane, ale kiedy, tego nie umiem powiedzieć. Bo ja nie dostałem żadnego grypsu, bo oni uznali, że jestem szczwany lis i szkoda na mnie czasu, a taki gryps wtedy by mnie jeszcze wprowadził w wielki zamęt.

A.M.: Jacek to lokalizuje na początku maja. W każdym razie ja pamiętam dokładnie tę rozmowę z ojcem Ireny i to jak siedzimy nad tymi listami i on mówi: coś się stało, coś się zmieniło. To dokładnie pamiętam. A po latach czytam u Jacka, że na początku maja tam się coś stało.

K.M.: Ale Jacek jest bardzo nieprecyzyjny.

A.M.: On jest do tego stopnia nieprecyzyjny, że mnie umieszcza wtedy w więzieniu i kojarzy z tą sprawą. A to nie ma ze mną nic wspólnego, ja sobie wtedy swobodnie i w udreće chodzę po mieście. Ale tu chcę to powiedzieć: ja już wiem, że śledztwo postępuje. I zresztą z tym się zaczynają wiązać jakieś plotki, które krążą po mieście, bo to zawsze gdzieś tam przecieka. Teraz muszę ujawnić jeszcze jeden aspekt mojej sytuacji, o którym nie wiem, czy wiesz i czy w ogóle wiadano. Ponieważ jest to jeden z najbardziej dyskretnych, jeśli nie tajemnych epizodów życia intelektualno-politycznego tamtego czasu. O którym, o ile mi wiadomo, jest tylko jedna wzmianka na piśmie. Co zresztą należałoby opracować, historyk jakiś powinien się za to wziąć. Wzmiankę tę poczynił Krzysztof Pomian we francuskim wydawnictwie poświęconym jubileuszowi Bronisława Baczki, którego kopię mi przesłał...

K.M.: Nie wiem, nawet bym pewnie nie skojarzył, bo ja nie wiem, o czym ty mówisz.

A.M.: Otóż od roku 1966 w gabinecie ówczesnego szefa Wydziału Nauk Społecznych PAN, czyli Stefana Żółkiewskiego, na 21 piętrze Pałacu Kultury odbywały się comiesięczne, o ile dobrze pamiętam, konwentykle intelektualistów, których nazywa się rewizjonistami, w doborowym składzie, właściwie wszyscy tam byli: Brus, Baczko, Kołakowski, Pomian, Strzelecki, Szacki...

K.M.: To zdumiewające, że w takim gronie i to się nie rozniosło, muszę ci powiedzieć...

A.M.: O ile wiem, nie ma najmniejszego śladu. Przepraszam, jestem pierwszy, który to ujawnia, ale tylko Tobie na razie... To było poważne przedsięwzięcie, a „Gruby” czyli Żółkiewski, ryzykował polityczną głową. Był w końcu wtedy nie tylko akademikiem i profesorem, ale i członkiem KC itd.

K.M.: To każe na nich spojrzeć z większym szacunkiem, że oni tego nie rozplotkowali.

A.M.: Co to były za spotkania? To oczywiście były spotkania kryptonimowe, znaczy nie rozmawiano tam wprost o polityce, ale rozważano zagadnienia „eksperymentu gospodarczego”, na przykład, pamiętam taki referat Brusa. Przełożenie na praktykę wszyscy rozumieli, chociaż głośno się tego nie mówiło. Ale wszyscy też rozumieli, że nie wiadomo, czy tam nie ma nasłuchu. Otóż ja byłem, jeśli mnie pamięć nie myli, najmłodszym uczestnikiem tych spotkań. Przez Krzysztofa i Grubego zaproszonym. Ja cały czas o tym wiedziałem i pamiętałem, a jeśli miałem jakieś tabu, to było to. I jeśli zachowywałem się tak nieprzezornie w tym śledztwie, jak tylko się można zachować, to chcę jedną rzecz ci od razu powiedzieć: kiedy mnie zapytano o Bączkę, to ja odpowiedziałem stanowczo: „to jest mój profesor i ja na jego temat zeznawać nie będę”. I więcej nie zadano mi żadnych pytań dotyczących moich profesorów. To 21 piętro PKiN-u ja cały czas miałem w pamięci i wiedziałem, że to jest tabu i, jak widać, do dnia dzisiejszego tabu pozostało. To jest sprawa, która powinna być opisana, bo ci ludzie przez prawie dwa lata pracowali. Jakies materiały muszą po tym być. Było to poważne przedsięwzięcie rewizjonistyczno-reformatorskie, ze wszystkimi słabościami tych przedsięwzięć. Ale było, zaś ci ludzie wiele ryzykowali w ówczesnym otoczeniu i w całym ówczesnym systemie politycznym. Dlaczego ja o tym przypominam: dlatego, że miałem bardzo dużo pretensji do intelektualistów, ale adresowałem je do klimatu raczej, nie do osób.. Natomiast osobiście ja tu akurat jestem uważam w porządku, przynajmniej w odniesieniu do moich nauczycieli. To teraz wrócimy może do twojego pytania. Więc jest ten 18 mniej więcej czerwiec i ja już to wszystko wiem, tzn. wiem, że ludzie zeznają, ja jestem zdecydowany, ludzie to wiedzą, wie główna moja ówczesna powierniczka, czyli pani Hania Grossowa, inni koledzy wiedzą, że ja nie wytrzymuję czekania, jestem pod presją tego, że muszę coś zrobić, że będę zeznawać...

K.M.: To co mówisz teraz przypomina trochę tę atmosferę – ja to wiem z relacji, bo sam się dopiero wtedy urodziłem – późnych lat 30. w Moskwie.

A.M.: Trochę przypominało. Tam były jeszcze inne aspekty, które to przypominały, ale to mnie nie dotyczyło bezpośrednio, było to związane z kręgiem starych działaczy, z którymi miałem pośredni kontakt, to właśnie byli ludzie, którzy te lata 30. mieli jeszcze świeżo w pamięci. Jak pamiętam, mnie to wtedy trochę śmieszyło, że oni tacy wystraszeni, z kołnierzem postawionym, wpadali wieczorem i szeptali parę zdań w korytarzu, a potem wypadali. Ale dla mnie to był obrazek z innego filmu i innej epoki. Zadałeś mi pytanie...

K.M.: Ja rozumiem, że to pokazuje, nie chcę powiedzieć tłumaczy, nastawienie twoje, którego przedłużeniem w warunkach aresztowania, były zeznania z założeniem, że ty chcesz odciążyć młodzież, obciążając mnie, Jacka i Adama. Ty zresztą nie byłeś jedynym zeznającym, zeznających było więcej. W twoich zeznaniach wprawdzie pojawiają się takie rzeczy, które są później w twoim oświadczeniu, ale to, co dla mnie było najsilniejsze, zrobiło największe – powiem wprost i wyraźnie – najbardziej mnie wk...ło, bo ja to wszystko czytałem, ale jeszcze zanim czytałem to mi cytowano jakieś tam fragmenty i zeznań i oświadczenia do protokołu w czasie przesłuchań, więc, że tak powiem, miałem pewien przedsmak, a później czytałem i robiłem notatki z tego twojego oświadczenia, całego nie przepisałem, tylko Adaś sobie zadał ten trud, ale te najbardziej gęste – że tak powiem – fragmenty chyba przepisałem, zresztą mam do dzisiaj. I wtedy zimna wściekłość mnie ogarnęła, jak to przeczytałem, a później kiedy ona mi przeszła – bo coś bardzo istotnego wydaje mi się zrozumiałem na procesie, jak zeznawałeś i również do dzisiaj, kiedy z takiej perspektywy na to patrzymy, dla mnie czym innym są zeznania, a czym innym oświadczenie. Właściwie, może będzie lepiej, jak każdy z nas opowie swoje, bo ja bym opowiedział też, jak ja odczuwałem i jak ja rozumiałem tę sytuację sprzed mojego aresztowania. Dla mnie sytuacja po aresztowaniu była stosunkowo prosta, w pewnym sensie rutynowa, bo to była tak: nie pierwszy raz, ja miałem mniej więcej wymyśloną formułkę, która była bardzo bezpieczna i w której się można było schować przed każdą pokusą i stresem więziennym, czyli formułka: zero kontaktu, od której ja zrobiłem, tak w nawias ją wziąłem i zeznawałem w ogóle na temat tego drugiego zarzutu, który nam dano, czyli zarzutu współpracy z trockistami, z IV Międzynarodówką, który był odgrzanym zarzutem z poprzedniej sprawy. Materiały z tamtej sprawy znałem, więc uważałem, że nie jestem w takiej sytuacji, że oni widzą

wszystkie karty, a ja mam grać w ciemno. I ja tam złożyłem wyjaśnienia – nie potrzebnie, jak sądzę, dlatego, że można było pokazać komuś, że są jakieś oświadczenia, które ja też podpisuję i że ja też składam zeznania. W każdym razie zrobiłem to, ale w zasadzie miałem tę wygodną formułkę. Natomiast to, co uważałem przed zeznaniem, to dla mnie jest ważne, żebyś to wiedział: psychicznie, ideowo, politycznie byłem pewnie nie dużo bardziej rewolucyjny niż ty. Natomiast przez cały czas między wyjściem z kryminału a powrotem do kryminału, po wyjściu myślałem, że to źle, że młodzi ludzie się tak zabrali za takie jawne pokazywanie języka władzy ludowej, że nie to trzeba robić, tylko trzeba robić konspirację. To też dlatego, że miałem takie wzorce podręcznikowe jak się knuje. Później zorientowałem się dość szybko, że to były urojenia, i że jest tylko to i że to jest na zasadzie nie przyznanej koncesji, jak istniała koncesjonowana opozycja, jaką był „Znak” na przykład, lub tolerowany margines swobody dla intelektualistów, ale że to jest pewnego rodzaju kojec. Na marginesie tych wszystkich kręgów tolerancji, dla tej młodzieży buntującej się, dopóki to nie przekracza granic kojca, tzn. dopóki my nie wyjdziemy z uniwersytetu, nie zrobimy wiecu, nie wyjdziemy na ulicę, nie ma ostatniego słowa, że władze muszą nas zlikwidować. Ja sobie wtedy nie zupełnie z tego zdawałem sprawę, to znaczy czułem, że następuje pewnego rodzaju usztywnianie czy uwstecznianie polityki partii, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że konsekwencją tej polityki musi być likwidacja marginesów swobody, które nie bardzo się mieściły w funkcjonowaniu systemu, a które dotyczyły świata akademickiego, kultury, itd. Dzisiaj myślę sobie, że w gruncie rzeczy to na tym te wydarzenia marcowe polegały, a co myśmy sobie kombinowali było w końcu... No może o tyle nie było nieistotne, że te dwie lub trzy paczki najbardziej aktywnej młodzieży na uniwersytecie miały istotnie zdolność do tego, żeby w pewnej sytuacji wystąpić, dobrze to nazwałś, w roli detonatora. Ja natomiast też uważałem, że przejście do takich otwartych działań jest ryzykowne, ale też, że zatrzymać się tego działania nie da, mimo że to była nieduża grupa i że myśmy dla niej byli autorytetami, to ja wiedziałem, że i tak się nie da, nawet jakbyśmy obaj z Jackiem zgodnie mówili, że mają cicho siedzieć. Natomiast bardzo nie chciałem przekroczyć tej granicy, poza którą według mnie jest konflikt, a wiedziałem, czego Adaś nie pojmował wtedy, że taki konflikt oznacza po prostu duże policyjne, represyjne uderzenie. Nie, że się zamyka dwóch facetów, którzy napisali broszurę...

A.M.: I ty już w końcu 67 roku zdawałeś sobie z tego sprawę?

K.M.: Nie, raczej na przedwiośniu, raczej w styczniu-lutym, po „Dziadach”, jak się pojawiła petycja, jak ludzie zaczęli mówić o wiecu. Bo zaczęli napierać, że oni chcą zrobić... Było widać, że oni się zaczynają czuć taką awangardą czegoś takiego, co zaczyna się kołysać, zresztą jak miałeś z nimi kontakt, musiałeś to czuć...

A.M.: Oczywiście, tu się kołysze, tam się kołysze...

K. M.: Ale oni absolutnie nie brali pod uwagę, że oni za to pójną do więzienia, nawet Adaś tego nie brał pod uwagę. Jak ja Adasiowi powiedziałem, że zamkną was wszystkich, on mówił: jak to zamkną, za co? Ja mówię, no jak to Adasiu – za organizację, są ulotki? Są ulotki. Jest petycja? Ktoś tę petycję zbierał? To znaczy, że jest organizacja. Mówił mi: no wiesz, praworządność nie będzie łamana, jak kiedyś. Ja mówię, wcale nie trzeba jak kiedyś. Złamią kogoś w śledztwie. Nie jednego złamią. Prawie wszystkich złamią. Do tego wystarczyło mieć troszkę doświadczenia osobistego z drugiej strony. Ja uważałem, że trzeba się starać nie przekroczyć tej linii. To jedno wiem; że nie można zwinąć tego interesu, ale trzeba się starać nie przekroczyć tej linii. I to było w lutym, jak młodzi ludzie napierali na wiec, po zebraniu literatów. Bo to kiedy było? 29? W każdym razie pod koniec. To oni napierali już wcześniej, potem chcieli z literatami, ja cały czas – nie. Jacek bardziej był wrażliwy, żeby jechać tam, dokąd go niosą wychowankowie, to jego cała doktryna, bo on jest, jak pewnie zauważyłeś, osobowością w pewnym sensie autorytarną, narzucającą się, ale jednocześnie szalenie wrażliwą na to, aby kroczyć na czele w tym kierunku, w którym kroczą ci...

A.M.: To znaczy on taki jest emanacyjny...

K.M.: Tak, niemniej jednak on nie przeszkadzał im lojalnie, myśmy się z nim nawet kłócili na ten temat przy Adasiu i generalnie pamiętam, że 4 marca jedyne takie zebranie było u Iśki G., jedyne, na którym odbyto głosowanie. Nigdy tego nie robiono, bo po co głosować, jeśli nikt tu nikogo nie reprezentował.

A.M.: Wiec został ustalony na 6 marca...

K.M.: Nie, wtedy jednak, ponieważ ja bardzo się ciskałem, że nie, to było jeszcze w lutym czy na samym początku marca i wtedy postanowiono, że jeszcze nie. Ale już było widać, że oni po prostu nie wytrzymują. I ja zamieniłem zdanie natychmiast, jeszcze 3 marca, jak były urodziny Kuronia i był „Salon” u niego, w dodatku na temat „Mesjanizm klasy robotniczej”, przewrotnie sformułowany, jak Jacek o tym mówił, a przyszła wiadomość, że tych dwóch wyrzucili ze studiów, to ja myślałem, że dostanę szału: co on tam pierdoły opowiada, kiedy tutaj się coś dzieje. Więc jeszcze

przedtem, jak ja tam miałem iść, przyszli do mnie Kołakowski z Pomianem. Wywołali mnie na ulicę i na ulicy mi powiedzieli, że oni wiedzą, że władze się szykują i że trzeba im pretekstu i że wiec byłby pretekstem i że apelują, żebyśmy się na coś takiego nie decydowali.

A.M.: Przepraszam, wejdę ci w słowo, dlatego, że interwencja Krzysia Pomiana i Leszka Kołakowskiego została spowodowana przeze mnie. Bo ja się dowiedziałem o tym wiecu, już nie pamiętam od kogo, a idiotyzm mojej sytuacji polegał na tym, że ja w ogóle nie byłem zdolny widzieć siebie adekwatnie, swojej roli i możliwości odgrywania tej roli. Nie pamiętam już z kim, ale z kimś zawarłem taki układ, że ja tę poprawkę, która została zgłoszona na zebraniu literatów, która dotyczyła represji wobec studentów, zgłoszę, ale za to będę miał wpływ na dalszy bieg wydarzeń. Gdybym przez chwilę był osobą przytomną, powinienem był się wycofać z takich układów. Niemniej tak było, że je zawierałem. Jak się dowiedziałem, że wiec został wyznaczony na 6 marca, bo pierwsza data była taka, to w popłochu pobiegłem do Krzysia. Ponieważ wszyscy mieliśmy wtedy takie przeświadczenie, że jeżeli do tego dojdzie, to uniwersytet zostanie rozwalony i inne instytucje też. I to Krzysztof, jak się dowiedział o tym wiecu ode mnie, to powiedział: tu wszystko zostanie rozwalone ...

K.M.: Taki był sens tego, co on mówił. Ja myślałem, że ci chłopcy i dziewczyny pójdą siedzieć po prostu. I to jeszcze uważałem, że pójdą siedzieć w pewnym sensie przeze mnie, że ja za to odpowiadam jakoś, choć za niesamodzielnych ich nie uważałem. I że to spowoduje różne, trudne do wyobrażenia na razie, ale bardzo negatywne konsekwencje w życiu publicznym, a przede wszystkim skończy się właśnie likwidacją tego ośrodka, gdzie się jeszcze coś rusza i będzie nieszczęściem dla tych młodych ludzi. Ja sobie za daleko wtedy tych konsekwencji nie wyobrażałem, ale Leszkowi i Krzysiovi powiedziałem, że jestem tego samego zdania – bo byłem. Natomiast jak potem dowiedziałem się, że rektor postanowił tych dwóch skreślić z listy studentów, i to w sposób taki, jakiego nie dopuszczała ówczesna ustawa o szkolnictwie wyższym i jeszcze z tym komentarzem, że on to traktuje jako wyjątek, ale w razie potrzeby potraktuje jako precedens, to dla mnie – nie to że uznałem, że już nie potrafię tego powstrzymać – ja po prostu sam uznałem, że z tamtej strony Rubikon został przekroczony. To wymaga pewnego wyjaśnienia, takiego wzorca, zasady wyobrażania sobie pewnych sytuacji i pewnych powinności, jak należy reagować. Mianowicie kończy się całe to rozumowanie, że trzeba chronić tych ludzi, że trzeba zachować miarę i rozsądek w tym wszystkim, w momencie,

kiedy następuje drastyczna – a usunięcie ze studiów traktowałem jako drastyczną – represja wobec kogoś z tego środowiska. I wtedy aksjomat, że musimy tego kogoś bronić, wystąpić w jego obronie, uchylał dla mnie każde inne rozumowanie. I to pamiętam świetnie, że ja od tego momentu byłem absolutnie zwolennikiem kontruderzenia - tzn. wiecu. Staraliśmy się jeszcze tę rezolucję naiwnie strasznie skonstruować, bo nie wiem, czy pamiętasz, ta rezolucja zawierała aluzyjną groźbę, że jak nie cofniecie się tych represji, to za tydzień zwołamy drugi wiec, w ten sam sposób. Szczególnie byłem dumny z tej cienkiej aluzji, że władza powinna zrozumieć, że jak nic nie zrobi, to zbiorowość się zbierze i ponowi żądania... Więc nie będę twierdzić, że to nie przerosło mnie, te wydarzenia, a także wszystkich innych, którzy w nich brali udział. Z punktu widzenia jakiegoś tam przywództwa, bo przecież jednak byliśmy, może bardziej guru niż przywódcami, prawdopodobnie, nie jest to komplement w moich ustach, ale byliśmy jakimiś autorytetami, my też chcieliśmy akcji od tego momentu.

A.M.: Dla mnie to jest bardzo ważne, co mówisz, bo miałem w gruncie rzeczy z wami bardzo epizodyczne kontakty, trochę tylko się znaliśmy. Miałem raczej utrwalony wizerunek stworzony przez waszych młodych wyznawców i w tym wizerunku w ogóle nie było miejsca na wasze wątpliwości. Miałem wasz wizerunek jako tych z jednej bryły i tych, którzy pchali cały czas do przodu nie zważając właśnie na konsekwencje. Taki miałem wizerunek wówczas, wyrobiony przez moje uczestnictwo w sytuacji.

K.M.: Różni ludzie oczywiście, jak zaczęli zeznawać, to też tak opowiadali. Bo jak zeznawali, to przeważnie mówili prawdę. I to też opowiedzieli, co zresztą nie miało niestety żadnego znaczenia, ale mniejsza o to. Natomiast ja tu dochodzę do momentu, kiedy mnie jest ciężko mówić, zwłaszcza do ciebie, bo ja to mogę powiedzieć komuś innemu, ale wobec ciebie czuję taką treść, ale ja to muszę powiedzieć. Więc tak: jak ja przeczytałem to oświadczenie, pewne elementy, zwłaszcza muszę powiedzieć o jednym, co ty też musiałeś zauważyć, zwłaszcza retrospektywnie myśląc o tej całej kryminalnej historii, że w zasadzie, oprócz wyjątkowych sytuacji, kiedy procesy polityczne w PRL-u były niemal kiblowe, to znaczy odbywały się przy drzwiach zamkniętych, to o nich nie pisano i taki był nasz pierwszy proces. W innych razach śledztwo i sąd służyły nie tylko i może nawet nie tyle do przeprowadzenia pewnej procedury, która była wymagana, aby kogoś represjonować – mówię oczywiście o politycznych sprawach – ale służyły przede wszystkim celom propagandowym. To

znaczy, krótko mówiąc, na tym styku bezpieczeństwa - propaganda, w tamtym czasie jeszcze mniej chyba telewizja, głównie jednak prasa, czy na styku między bezpieczeństwem a „białym domem”, wtedy prawdopodobnie nie wiedziałem, czym to się różni, odbywały się różne gry polityczne, naszymi głowami oni też jakoś grali, jak myśmy siedzieli. I to było widoczne zresztą, jak różne decyzje rozgrywano: kiedy ma się odbyć proces, czy ma być umorzony ten drugi zarzut czy nie, w pewnym momencie nawet sąd się włączył do tej gry. To znaczy nasz sąd to jest osobna dla mnie sprawa. Jednak wszystko to w zasadzie miało dostarczyć amunicji propagandowej. Było budowane, śledztwo było prowadzone pod tezę, i przewód sądowy miał być pod tezę. Ten nasz zespół sędziów tym się wyróżnił, że on odmówił, no nie odmówił wprost – bo wprost takich zadań zapewne sędziom nie stawiano, szczególnie że prowadził ten zespół sędziów przewodniczący wydziału czwartego karnego, czyli sędzia Sikorski, który już nie żyje, autorytet w tym sądzie, mówiono mi, że to jest jeden z najlepszych prawników województwa Warszawy. Ale oni po prostu na to nie poszli, nie wpisali się w scenariusz, oni nas oczywiście skazali itd., ale nie wpisali się w scenariusz propagandowy. Natomiast ja przepraszam, że ci to powiem, ale w moim przeświadczeniu tyś się wpisał w ich propagandowe zapotrzebowanie. I ja nawet wtedy, jak ogarniała mnie taka zimna wściekłość, najpierw wściekłość gorąca, potem zimna, to ja oczywiście, wydaje mi się, że już wtedy rozumiałem, że tu musi być jakiś specjalny element, że w tym odgrywaniu pełnią rolę twoje urazy, także co do różnych osób, w szczególności do Adasia, jak mi się zdawało. Jakoś tak się stało, że te twoje urazy się wpisały w ten scenariusz generalny...

A.M.: Ale ja nie chcę, żebyś mnie tłumaczył, chcę, żebyś powiedział, jak było.

K.M.: Nie było w tym nawet cienia skłonności, żeby ciebie usprawiedliwić i chyba nawet niewiele skłonności, żeby to zrozumieć. Miałem rzeczywiście obcykane, zresztą powiedziałeś, jeśli pamiętasz dobrze, zeznania twoje na naszym procesie...

A.M.: Pamiętam, że ty zadawałeś pytania i wyczuwałem, że ty rozumiesz jakby, że ja nie jestem tylko spod ciemnej gwiazdy.

K.M.: Proces jest takim pewnego rodzaju przeżyciem...

A.M.: potwornym...

K.M.: Ale dla mnie, to zupełnie inna rola, inny punkt obserwacyjny, inny odbiór emocjonalny. To jest taki punkt obserwacyjny, z którego raptem zaczynasz dużo rozumieć. Są takie rzeczy, które zaczynasz rozumieć, to jest jak taka powieść, albo jak „Rashomon”, jak taka powieść, w której jest ciągle to samo opowiadane przez tyle

osób, nie koniecznie dlatego, że te osoby coś w interesie własnym albo czyimś, żeby kogoś osłonić coś kręć – po prostu inaczej to widzą. I przesuwa ci się przed oczami, jak to wygląda. Jeśli jest sk...syn dobry, ten śledczy to zapisuje i stylistykę i emocjonalność, wszystko, jak w przypadku Baški T. Ja jej tak dobrze nie znałem, ale znałem ją lepiej, nie wiem, czy jak ty, ale lepiej niż wiele innych osób ją znałem. Jej wizja, innych osób wizja, Teresy B. wizja, która też składała zeznania i napisała oświadczenie skądinąd bardzo interesujące. Ale na ciebie do końca... Od samego początku, pamiętam jak tyś wszedł i powiedział, dokładnie, że odwołuję w całości moje zeznania ze śledztwa, ponieważ aczkolwiek są tam jakieś elementy prawdziwe, są w całości konstrukcją, to było widać, że jest to przemyślane zdanie, ono było zbudowane logicznie...

A.M.: Konstrukcją ideologiczną.

K.M.: Tego nie pamiętam, ale konstrukcją świadomie fałszywą. I mnie w tym momencie patrząc na ciebie, ponieważ było widać, ile cię to kosztuje, dopiero mi się zrobiło jasno. Nigdy nie byłem entuzjastą Dostojewskiego, on do mnie, wiesz, nie wiem dlaczego, nie przemawia...Naprawdę lubię tylko „Wspomnienia z domu umarłych”. Ale to, co on odkrył w literaturze, że człowiek jest wielopostaciowy... Jest jakaś tajemnica w tej wielopostaciowości, w tym, że człowiek się przewraca, a jak się przewróci, to chce wstać. Próbuje wstać. Że być może jest tak – tak dzisiaj myślę na ten temat, że w twoim wypadku, ja rozumiem, ty szedłeś do tego więzienia z pewnym takim zespołem nastawień, które mogły tak zaowocować. Jednocześnie siła i słabość jest w każdym człowieku nie w ogóle, tylko na pewne okoliczności. Wydaje mi się, że po prostu na te okoliczności, przy twoim typie wyobraźni, i przy twoim typie plastyczności psychicznej, wielopostaciowości, że to nie były okoliczności dla ciebie. Ja rozumiem tę logikę wydarzeń, to jest trochę jak w greckim...

A.M.: Ale coś zawsze pozostaje niestety nie do wyjaśnienia...

K.M.: Później mówili, ja już tego nie czytałem, mówili mi chyba moi koledzy, na pewno nasi wspólni znajomi, może nasi wspólni przyjaciele, że później ty miałeś ponownie że tak powiem, jakieś takie... artykuły we „Współczesności” napisałeś źle o tych literatach, którzy wtedy byli, że tak powiem, pod kreską. Ale ja tego nie czytałem. Ale nawet nie bardzo to zmieniło mój pogląd na sprawę. Wydawało mi się, że znalazłeś się na takim styku przeciążeń, które...

A.M.: Karol, przepraszam, że ci przerwę, ale ty zacząłeś mnie tłumaczyć, a miałeś mi powiedzieć, co o tym sądziłeś.

K.M.: Ja to odkryłem, Andrzeju, to strasznie głupio brzmi. Ja się po prostu dowiedziałem czegoś bardzo ważnego. To nie znaczy, że ja cię traktowałem jak naukowiec króliczka czy inne zwierzątko doświadczalne, ja nie jestem naukowiec. Ja to odkryłem w pewnej sytuacji dla mnie emocjonalnie nie neutralnej przecież. Ja to przeżyłem. Wtedy na sali sądowej, jak ty wszedłeś na to podium dla świadków i zacząłeś mówić.

A.M.: Ale możesz mi powiedzieć jednak wcześniej, co przeżyłeś, jak przeczytałeś to oświadczenie...

K.M.: Wściekłość. Niezrozumienie. To co myślałem i czułem wobec tych tekstów oczywiście zawierało osąd kompletnie negatywny i ten negatywny osąd wykluczał rozumienie sytuacji. Natomiast nagle, to, co ja zostawiłem automatycznie poza nawiasem, nagle zobaczyłem to jak wszedłeś i zacząłeś zeznawać. I to jest być może wrażliwość psychiczna podwyższona w tej sytuacji, w jakiej ja tam wtedy siedziałem i patrzyłem. To jest większe wrażenie, człowiek ma cieńszą skórę. Ma grubsza skórę, to znaczy ja wtedy miałem sytuację jednak stosunkowo prostą w tym areszcie, natomiast dużo cieńszą skórę ma się, jak z tej ławy oskarżonych patrzy się na ten ludzki świat. I wtedy ja zobaczyłem, że kompletnie wyłączyłem rozumienie. Wyłączyłem introspekcję. Wtedy, kiedy czytałem to, co napisałeś, to były jakies szcążkowe próby introspekcji. Wiadomo, byłeś wściekły na Adasia, źle go znosiłeś, źle go tolerowałeś, no to mu przyłożyłeś, poszedłeś tam i zeznałeś... Przy czym ja nie szukałem nawet motywów, nie że tam coś, że chcesz na wolność wyjść, czy że chcesz karierę zrobić, nie... A pewnego rodzaju dramat moralny i psychologiczny to ja zobaczyłem dopiero na sali sądowej...

Więc dla mnie było kilka takich przeżyć istotnych w kryminale. To nie dotyczyło tylko osób, które przeciw mnie zeznawały. Przy czym ja przecież wiedziałem, że nie zeznawać wcale nie było trudno, jak się weszło w odpowiednią szufladkę, znalazło się w sobie odpowiednią szufladkę. Natomiast dla mnie Teresa B. była... ja się naprawdę kawałka prawdy o ludziach dowiedziałem z jej zeznań. Ja nie umiem oczywiście ocenić twoich zeznań od strony tego, czy one komuś zaszkodziły w sensie informacyjnym. Zawsze jest taka możliwość, kiedy się zeznaje, dlatego, że nigdy nie wiesz, które informacje są dla nich ważne. Oni mają inne kryteria ważności, co oni z tego wyciągną, ulepią. Oni nie szukali prawdy w twoich zeznaniach, oni szukali materiału do wykonania pewnego zadania. Ale to można powiedzieć o wszystkich zeznaniach. Jeśli chodzi o twoje zeznania, to tam oczywiście był podstawowy

scenariusz propagandowy, który świetnie znam: spisek żydowskiej reakcji w KC, której przedłużeniem było to, w związku z tym skład etniczny komandosów, dzieci dygnitarzy komunistycznych i Staszewski bardzo ważny dla nich i Zambrowski, który się tam znalazł przez to właśnie na ławie oskarżonych, Bogu ducha winien za ten marzec tak naprawdę. Pierwszy akt oskarżenia oni sporządzili na 7 osób, tylko w międzyczasie układy frakcyjne się tam zmieniły i oni sądzili osobno Jacka i mnie, potem osobno tę czwórkę studentów i Zambrowskiego osobno...

A.M.: Ze sprawą Zambrowskiego nie mam nic wspólnego.

K.M.: Ja rozumiem.

A.M.: Ja go nie znałem i do dziś go nie znam.

K.M.: Na końcu tam było napisane: wprawdzie Antoni Zambrowski nie brał bezpośrednio udziału w wydarzeniach marcowych, ale w swoich wypowiedziach do kolegów biurowych z entuzjazmem te wydarzenia pochwalał. Więc oni mieli ten scenariusz. I w twoich zeznaniach, to, co mówiłeś o Staszewskim, też szło, bo tam coś było takiego. Natomiast to wyeksponowane było odpowiednio w tym oświadczeniu i po prostu furia moja wtedy, jak ja to czytałem i widziałem, że to kompletnie odpowiada temu obstalunkowi propagandowemu. Ja widziałem, że to wszystko jest robione pod propagandę i to im dajesz właśnie. Na szczęście tam były te zawijasy literackie w tym tekście i wykazywałeś pewną literacką fantazję.

A.M.: I było też powiedziane w pierwszych zdaniach, dobrze pamiętam, że wśród tych ludzi poznałem najlepszych, jakich kiedykolwiek znałem w życiu.

K.M.: Tego nie zapamiętałem, ja nie mam zresztą całego tego tekstu. Natomiast ja myślę, że tam było dużo tego w tym oświadczeniu, co ty naprawdę myślałeś. Tylko to było tak skonstruowane w całości...

A.M.: Ja bym teraz, jeśli pozwolisz, o tym epizodzie więziennym i zeznaniach opowiedział ze swojej strony. Po pierwsze jest tak, że kiedy ja wchodzę w to śledztwo, to ono w sensie faktycznym jest właściwie bardzo już zaawansowane. Bez wątplenia, ja to nie tylko teraz wiem, ale bardzo szybko wiedziałem już po tym wszystkim, tzn. mniej więcej wtedy, kiedy mnie wypuścili... Ja jeszcze nie całkiem rozumiałem, co ja właściwie zrobiłem...

K.M.: Kiedyś ty wyszedł?

A.M.: W połowie sierpnia.

K.M.: Wtedy większość wyszła.

A.M.: Ja wyszedłem jakieś parę dni wcześniej przed Ireną, jak było z większością, nie bardzo pamiętam. Wiem dobrze, że wyszedł Waldek Kuczyński i jak już byłem na tzw. wolności to on mnie odwiedził. Do dziś pamiętam jego koleżeński stosunek, w tamtej sytuacji to się bardzo dobrze zapamiętuje, ale jednocześnie mój podziw. Ja już wtedy zaczynałem rozumieć, gdzie jestem. To już dwa tygodnie trwało... Ja się już, że tak powiem, znalazłem w stanie psychicznego rozszczępienia. A Waldek mówi do mnie tak: „ja nic im nie mówiłem, brałem książkę i czytałem, a śledczy jak musiał siedzieć przy tej maszynie to siedział...” I wiesz, jak oni mi to powiedział, to ja dopiero zaczynałem rozumieć, jak w ogóle można się było zachować i dość szybko to do mnie dotarło. A potem przyszedł taki moment organicznego, można powiedzieć, załamania, był taki moment, że ja to wszystko jakby zobaczyłem, skutki tego. I też poczułem, że już tego nie udźwignę...

Ale wróćmy teraz do początku tego, jak ja zostaję zdjęty. Zdjęcie jest oczywiście bardzo precyzyjnie wyreżyserowane, tu już możemy włączyć ten wątek osobisty, taki, że byłem zakochany, co jest być może w ogóle najgorszą przypadłością w takich razach. Jak już powiedziałem, struktury wszystkich moich ambiwalencji to nie zmieniało, natomiast niewątpliwie wzmacniało emocje związane z tą ambiwalencją. Myśmy ze sobą korespondowali. Oni dopuszczali tę korespondencję i oni oczywiście ją starannie analizowali. W tej korespondencji z jednej strony była w maju ta wiedza, że już się wyjaśnia tę historię w zeznaniach, a z drugiej strony też i moje podsycanie tego wyjaśniania. Więc oni wiedzieli, że ja jestem gotowy i że jestem gotowy na tym tle przede wszystkim, choć nie tylko na tym. I wtedy dostaję telefon. Tam, gdzie mieszkalem u gospodarzy był telefon, którego nie nadużywałem, ale czasem można było z niego korzystać. I telefon od majora, który prowadził sprawę Ireny, że ma dla mnie w ogóle bardzo miłe wiadomości. I ja tak jak stałem pobiegłem po te wiadomości, w piękny czerwcowy dzień, w letniej koszulce, prawie z piosenką na ustach... I już w pałacu Mostowskich, pierwsze 48 godzin, ja od razu zeznaję. Ale oczywiście z pewnym jednak, na początku, z pewnym jakimś wyczuciem. Próbując się orientować, co oni wiedzą, a oni mnie zasypują wiedzą. Ja nie wiem teraz, czy zostałem zdetonowany czy nie, ale zostałem umocniony w gruncie rzeczy – jeśli to było wyreżyserowane to bardzo dobrze – zostałem umocniony w swoim zdecydowaniu.

I dlaczego mówiłem o tym, co zrozumiałem po wyjściu, w sierpniu? Bo ja wtedy dopiero zrozumiałem jedną rzecz, którą pamiętam i respektuję do dziś: każde słowo,

które się powie w tych okolicznościach jest słowem za dużo. Dokładnie każde. Są zresztą tacy w tym mieście, którzy wiedzą, że ja to potem już mówiłem.

K.M.: Trudno, żebyś się o tym nie przekonał.

A.M.: Tak, trudno, żebym się o tym nie przekonał. Ponieważ mówiliśmy o procesie, to dokonam pewnego skoku i powiem, jak to wyglądało z mojej strony. Dla mnie to było przeżycie oczywiście traumatyczne. Ja nie wiedziałem do ostatniej chwili, czy ja w ogóle będę w stanie stanąć na tej sali. Nie mieszkałem już wtedy w Warszawie, bo tutaj straciłem wszystko, skończyła się moja doktorantura na uniwersytecie, a ponieważ wszystko się źle układa w takich razach, więc mnie po prostu 30 września wygasło stypendium doktoranckie. Tak że ja nawet nie mogłem się powołać na to, że mnie zwolnili. Dopiero teraz się dowiedziałem, bo przeglądałem moją teczkę w związku z nominacją profesorską, że mogłem się powołać. Bo 14 sierpnia rektor uniwersytetu zawiadomił prokuraturę, że nie przedłużą ze mną kontraktu. Ale o tym się dowiedziałem niedawno. Chcę powiedzieć, że dość wcześnie zdałem sobie sprawę, że każde słowo wypowiedziane w tych okolicznościach jest słowem za dużo, i z tego sobie przez całe dalsze życie zdaję sprawę... Jak to było, jak musiałem stanąć na rozprawie? Już powiedziałem, że wydawało mi się, że nie będę w stanie się na to zdobyć... W przygotowaniu tego odwołania były jakieś elementy racjonalne, pan Grudziński mi doradzał, co odwołać, czego nie odwołać, żeby też się nie narazić na proces o fałszywe zeznania, itd. Ale w końcu to przeważało, znowu zachowanie w tym sensie irracjonalne, że ja byłem gotów odwołać wszystko, bez względu na konsekwencje. Dlaczego tak się stało? Już wspominałem o takiej wewnętrznej iluminacji, kiedy zobaczyłem, że właściwie wszystko to było błędem, ale jest też taki moment, który chcę ci powiedzieć, bo on jest strasznie ważny jakby w całym moim dalszym stosunku do ludzi. To znaczy ja sobie uzmysłowiłem coś takiego, że nawet jeśli ja miałem pewne racje, bo były przecież między nami różnice, to że są pewne sytuacje, w których nie można niczego powiedzieć. Na czym, według mnie, polega istota takich sytuacji? Istota tej sytuacji polega na tym, że niczego nie można powiedzieć dlatego, że to jest wzięte przez kogoś trzeciego do czegokolwiek. Właściwie przez strukturę bezosobową – aparat jakikolwiek, na dodatek – ten aparat. To nie jest tak, jak tutaj - my siedzimy naprzeciw siebie twarzą w twarz i sądzę, że moglibyśmy sobie o wszystkim powiedzieć, o tym także, co dzisiaj nas dzieli i to pozostałoby bez dalszych konsekwencji. A tam było zawsze coś trzeciego i to był bezosobowy, bezpieczniacki aparat. Najtrudniejszy był dla mnie moment przyjscia do

sądu i czekania pod salą, wejścia na salę, który ja odczuwałem dosłownie fizycznie... miałem uczucie takich kamiennych żaren, które mnie w środku miały. Słyszałem, jak one chroboczą w moim mózgu, ocierając się, te kamienie jeden o drugi. Znaczą, takie doświadczenie, że niezależnie od tego, że nasze kontakty były epizodyczne, a z innymi były bliskie, że po prostu człowiek nie może zerwać w ten sposób więzi międzyludzkich. Tak to po latach rozumiem, że to po prostu w ogóle jest niemożliwe. To znaczy można zerwać ze sobą i ludzie ze sobą zrywają, tylko że nie w ten sposób. I wtedy jak już stanąłem na sali, to była przecież druga sprawa w której zeznawałem...

K.M.: Coś mi przyszło do głowy, nie wiem, czy ja powinienem ci to mówić.

A.M.: Powiedz proszę. Jak już stanąłem, byłem gotowy na wszystko.

K.M.: To jest uwaga na temat tego, co powiedziałeś przedtem i co mówisz teraz na temat więzi międzyludzkich. Ja odnoszę wrażenie ciągle, że jesteś typem psychicznym człowieka, który musi mieć oparcie w zbiorowości. To znaczy ty jesteś oczywiście indywidualistą...

A.M.: Każdy musi mieć. Mnie mała zbiorowość wystarcza....

K.M.: Ale potrzeba jest ogromnie silna. Pozbawienie ciebie tego jest dramatyczne i ono było dramatyczne, bo ty zostałeś pozbawiony zbiorowości przed aresztowaniem, ale nie całkiem. Natomiast od momentu aresztowania, niezależnie kogo ci tam podsuwali do celi – całkowicie, bo tam nie miałeś żadnej zbiorowości przyjaznej. I to, co mówiłeś tym bardziej to potwierdza. To jest element pewnej słabości, kiedy człowiek nie może się bez czegoś obejść, to pozbawienie go tego czegoś naraża go, że go będzie można przełamać. Bo ja tak się zastanawiałem na tym. Przecież ja rozumiem, że cały mechanizm tego, że różni ludzie zdołali się ostać bez większego wysiłku, albo się przewracali i z ogromnym trudem to przechodzili w śledztwie, pod względem psychologicznym, zależy od konstrukcji psychicznej. Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie potrzebna taka wiedza o sobie samym i o innych, ale ja myślę, że to ma duże znaczenie.

A.M.: I teraz wróćmy może do tego, co racjonalne w moich zachowaniach, bo nie chcę, żeby to się w moją psychoanalizę przekształcało. To tak jest z tą grupą, to słuszne co mówisz... tak jest chyba od najmłodszych lat... Ale chciałem jeszcze ci powiedzieć o tych żarnach w głowie. .. To znaczy czujesz, że jesteś z tymi ludźmi związany, że to są więzy dosłownie, jak postronki i że takie zerwanie, poprzez aparat policji i sąd nie jest do zniesienia.

K.M.: Ale ja to jakbym fizycznie poczuł, że coś takiego się dzieje, gdy tam wszedłeś i powiedziałeś pierwsze słowa. Nie tylko to, że ja zrozumiałem, że nie muszę prowadzić z tobą takiej zimnej, brutalnej walki. Ale przede wszystkim to, że nagle mi się zmieniło.

A.M.: Teraz wróćmy do tego początku i do przebiegu faktycznego. Już powiedziałem, że się dowiedziałem, co waży każde słowo, a powiedziałem ich dużo za dużo i napisałem dużo za dużo. Wszystkiego za dużo. Ale oczywiście, masz rację, że gdyby były same zeznania bez tego oświadczenia, to też cała sprawa wyglądałaby inaczej. Ja sam bym się inaczej w tym czuł. Ale o tych zeznaniach chcę powiedzieć, że po pierwsze w mojej dobrej wierze, nikt nie został z ich powodu aresztowany, a do uwolnienia kilku osób też się przyczyniłem... Jak doszło do tego pisania? Byłem dość długo w jednej celi z Wiktoorem G. i myśmy też zostali dobrze dobrani, ze względu na pewną fazę psychiczną - bardzo dobrze. Coś mi się mgliście snuło w głowie, żeby w ogóle pisać i wtedy mnie do niego przenieśli, który już pisał. I on mi powiedział, że w ogóle różne oświadczenia są pisane. Rozegrali to dokładnie w tym momencie, w którym należało. To było akurat tam robione z dużym wyczuciem psychologicznym, tak samo jak zdjęcie mnie przez telefon, na dobre wiadomości o Irenie. To oczywiście mnie nie usprawiedliwia, ani nic. Chcę powiedzieć, że tak: po pierwsze w mojej dobrej wierze, która mam nadzieję nie jest fałszywa, ja nie rozszerzyłem kręgu. Obracałem się w ramach tego, co było. Dalej - ja zastałam pewną fazę śledztwa, w której były dwie jeszcze sprawy, które, jak sądzę, zlikwidowałem jako sprawy. Pierwsza to była ta sprawa, o której po latach dowiedziałem się z książki Jacka, o szpiegostwo. Dla nich to byłby gwóźdź, ale go nie wykuli, bo nie było z czego. To się opierało, moim zdaniem, tak przypuszczam, na kontaktach Marcina Króla z Bernardem M., ówczesnym korespondentem „Le Monde’u” w Warszawie. Ponieważ ich żony były koleżankami szkolnymi, mieszkali oni na Mokotowie w pobliżu i myśmy u tego M. wypijali z Marcinem duże ilości francuskiego wina, które wówczas było pewnym rarytasem. Ale problem polegał na tym, że oni wiedzieli, że Marcin tam ciągle bywał, wiedzieli też, że ja tam musiałem bywać, ale nie wiedzieli, co tam było grane i do czego myśmy byli używani. Otóż ja ich naprawdę przekonałem o tym, że myśmy tam głównie pili wino i naprawdę Marcin został pod koniec czerwca, czy w początku lipca wypuszczony. O ile wiem, do sprawy kontaktów z tym M. już potem nie wracano. To znaczy oni się przekonali o tym, że na tym nie da się zbudować niczego. Bo niczego więcej poza tym M. nie mieli.

K.M.: W ogóle z tym M. wobec Adama to były wspólne akta śledcze, moje, Adama, Basi itd. Ponieważ początkowo miał być wspólny proces, to ja czytałem akta śledcze wszystkich, znaczy tej czwórki, poza mną i Jackiem, a także Zambrowskiego. Czytałem na przykład cudowne zeznania Tejkowskiego, mojego byłego kolegi zresztą, ale to jest osobna sprawa, które dotyczyły Zambrowskiego głównie. Ja w ogóle nie miałem świadomości całej sprawy kontaktów z M., którego ja prawie nie znam...

A.M.: To jest jeden wątek, który zresztą, wedle tego, co Jacek po latach pisał, to ten właśnie wątek mógł przesądzić o tym, że większość młodych kolegów zaczęła zeznawać, lękając się tego kontekstu pseudo-szpiegowskiego, który oni chcieli z tego skonstruować. Tak mniemam, taką widzę tutaj łączność. A druga kwestia, którą na swoją rzecz chcę powiedzieć, to jest taka, że ja zastałem taką fazę śledztwa, w której było kilkanaście sporządzonych kół konspiracyjnych. Kto je sporządził i jak, to ja w to nie chcę wchodzić, chociaż zapewne wiadomo. Ja nie czytałem żadnych innych zeznań, żadnych akt, najwyżej cytowano mi fragmenty... Ja wchodzę w taką sytuację, w której jest kilkanaście grup konspiracyjnych, a wśród nich jedno takie, którego ja jestem przywódcą. Mam więc taką sytuację, w której jest też grupa, której ja jestem przywódcą. Jak pamiętasz, doszło do takiej secesji w 67 roku i z Jankiem Grossem i z Alikiem Smolarem myśmy utworzyli takie seminarium prywatne, po konflikcie z Jackiem, a różnica była taka, że oni chcieli różne akcje robić, a my chcieliśmy dyskutować. I rzeczywiście była taka ekipa w składzie Alik Smolar, Janek Gross, ja, Marcin Król, Jadwiga Staniszkis, Jakub Karpiński, Waldek Kuczyński i jeszcze inni, która się raz na miesiąc spotykała, przeważnie w mojej suterenie. Tam nie było żadnego przełożenia między tym 21 piętrem w Pałacu Kultury u Grubego a tutaj tym seminarium w mojej suterenie, ale to coś mówi o tym, co się w ogóle działo w ówczesnej atmosferze społecznej. W każdym razie, w tym śledztwie, ja zastaję taką sytuację, że jest taka grupa, która zresztą była nazywana moją grupą, co jest zbytnim honorem, bo ja naprawdę nie byłem przywódcą ani inicjatorem tej grupy, raczej Alik był tutaj pierwszą postacią. I ja zeznaję w tej sprawie. To są jedne z pierwszych moich zeznań, jeszcze w ramach pewnej racjonalności. I dowodzę, ten materiał gdzieś musi istnieć, że to było niewinne seminarium teoretyczne. Dla mnie to jest o tyle ważne, że za to nikt nigdy nie był aresztowany czy sądzony...

K.M.: Ja rozumiem, ale też to jest najczęstszy mechanizm, który skłania ludzi do składania zeznań. Ja to formułuję nie z poczuciem wyższości, ale w końcu moja

decyzja, którą też trudno racjonalnie wytłumaczyć, żeby zeznawać w sprawie tego poprzedniego śledztwa, tego powielacza, który myśmy chcieli pożyczyć od Hassa i Badowskiego, a który przywieźli do Badowskiego jacyś trockiści z zachodu. I całą konstrukcją, kiedy oni chcieli nam do tego artykułu 5 przyłożyć, czyli współpracę z wrogą Polsce organizacją, jaką miała być ta śmieszna IV Międzynarodówka. I ja wtedy zeznawałem, żeby siebie wybronić. I to jest taki odruch, że ja zeznaję, żeby siebie albo innych ludzi wybronić przed absurdalnym zarzutem i to mi się zdaje też jest kanał.

A.M.: Oczywiście, z punktu widzenia reżyserii tego przedstawienia to było bardzo dobrze zrobione. Bo pokazano mi, że moje zachowanie jest racjonalne, a dalej już się zaczęło brnięcie w te zeznania dotyczące bezpośrednio was i młodszych kolegów, o których nic nie potrafię powiedzieć poza tym, że w całości były błędem i muszę też wyznać, że tam co najmniej dwa razy powiedziałem rzeczy, których się wstydę w nocy, jak się budzę. To były rzeczy, które wkraczały w prywatne życie...

K.M.: Ja pamiętam przede wszystkim to oświadczenie, bo po pierwsze to był tekst spójny, po drugie ja fragmenty przepisałem sobie, głównie te, które były mi ewentualnie potrzebne do użytku procesowego, ale nie tylko. A po trzecie dlatego, że była ta historia z „Brulionem”, czasopismem „Brulion”, które opublikowało twoje oświadczenie...

A.M.: Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie miałem z tym nic wspólnego, natomiast wiem niestety, kto to puścił. Niestety, nasz kolega, przynajmniej mój, którego zawsze dobrze wspominałem... Jakub K.

K.M.: Tak przypuszczałem, tak to wynikało z tego, co mi powiedziała Irena L. Ponieważ ja niegdyś miałem takie platoniczne zresztą uczucia wobec niej, więc jak się z nią widziałem w ostatnich latach przy okazji jakiegoś sympozjum, to sobie pogadaliśmy... I ona tego broniła. Ale mówię, słuchaj, oni w oświadczeniu chcieli ustrzelić dwa ptaki jednocześnie: Andrzeja i Adasia. Ciebie, bo im zawadzałeś, bo oni uważali, że każdy, kto jest trochę starszy i zajmuje jakieś miejsce to jest śmiertelny wróg, bo zajmuje miejsce im słusznie przez Boga przypisane, a przez różne nieczne siły odbierane. A Adasia trochę może z tych samych powodów, bo oni mają całą ideologię do zajęcia tego przypisanego im przez Boga miejsca. Oni zresztą ucięli z tego oświadczenia ten cały fragment, który dotyczy zamachu stanu wraz z tym takim wyznaniem, że jest to literacka fantazja. Bo to odbierało temu oczywiście całą wiarygodność. Bo oni chcieli, żeby to cię ubłociło, ale jednocześnie, żeby to miało

cechy prawdopodobieństwa. I żeby to wobec tego odpowiednio utyłało także Michnika i jego kolegów. Bo w ogóle cała ta sprawa 68 - w tobie to siedzi do dziś, co można zrozumieć, ale w ogóle to było tak dawno i w tak różnych miejscach są ludzie z tamtych lat... również stopień rozstrzelenia w życiu publicznym ludzi, którzy wtedy byli jakoś tam razem, świadczy, że tamte wydarzenia należą już do przeszłości, są pokoleniowym doświadczeniem, ale już nie cementują środowiska.

A.M.: Wróćmy do toku więziennego. Ja oczywiście mówię, mówię z tą pozornie racjonalną ideą, czy taką, która mi się wtedy wydawała racjonalna, że ja odciążam jednych, obciążam tych, którzy na to, w moim ówczesnym przeświadczeniu, zasłużyli. Ja wówczas nie wiedziałem tego – gdybym to wiedział to może byłbym troszkę inaczej racjonalny – o czym ty mi dziś powiedziałeś: że wyście nie parli do przodu, tylko raczej mitygowali.

K.M.: Był taki moment...

A.M.: Że wyście te trochę szalone dzieci prowadzili na stracenie?

K.M.: Ale ja w momencie tego ostatniego przedstawienie „Dziadów”, ja w to poszedłem jak w dym, zresztą sam wiesz. I to hasło... Mnie to wiesz, z jednej strony zbulwersowało, z drugiej pociągnęło. Zresztą ja też nie sądzę, żeby nie było wydarzeń marcowych, gdybyśmy wtedy nie skandowali „Niepodległość bez cenzury”, rozumiesz, i się nie wdarli na salę, nie przesadzajmy. Ale po prostu nie mogłem się powstrzymać. Ale to nie było wszystko zgrane. Jacek w ogóle o tym nie wiedział, że ja pójdę. Mnie z kolei nie było, jak oni petycję układali. Akurat ci, co byli na miejscu tę petycję składali, petycja poszła, potem poszły ulotki, była wojna ulotkowa, natomiast jak ci młodzi ludzie zaczęli przeć do wiecu, ja się przestraszyłem po prostu, że jesteśmy już za blisko tej granicy. Jacek się zresztą ze mną nie zgadzał całkiem, ale nie popychał ich, trzymał gębę na kłódkę...

A.M.: Nawiązałem tylko do tego, żeby wyjaśnić, że ja w ogóle nie miałem wtedy tego rodzaju wyczucia. I teraz jest taka sytuacja, że...

K.M.: To niczego nie zmienia zresztą.

A.M.: Ale może gdybym ja miał wtedy takie wyczucie, że wyście raczej hamowali niż popychali, to wtedy cała ta konstrukcja by mi się tak nie trzymała, a tak to dla mnie była szczelna.

K.M.: A nie pisałeś w oświadczeniu takich rzeczy, w które nie wierzyłeś?

A.M.: Zaraz dojdziemy do oświadczenia. Bo na początku nie mam takiego pomysłu nawet. Ten mój pierwszy literat, z którym siedzę, to on oczywiście coś tam trochę

sugerował, ale jeszcze wtedy nie chwyciłem tego, że w ogóle można coś jeszcze dodatkowo przedsięwziąć, poza zeznaniami. Jeśli chodzi o same zeznania, odparłem stanowczo próbę wciągnięcia mnie w zeznania przeciw profesorom, co mam sobie za dobre. A tego im brakowało do kompletu. Więc tu jakiś instynkt zadziałał, który mnie przed tym ochronił. Natomiast, potem przychodzi ten moment, że ja postanawiam napisać to oświadczenia. Postanawiam je napisać wtedy, gdy już jestem w towarzystwie tego, który napisał oświadczenie i który mi powiedział, że w ogóle piszą oświadczenia, co mnie zresztą nie usprawiedliwia. Byłem starszy i powinienem być przytomniejszy. Kolega, o którym mówimy, był w nadzwyczaj trudnej sytuacji osobistej, kompletnie zagubiony. I znowu nas dobrze dobrali, bo on strasznie przeżywał nonsens świata, w którym się znalazł i ja też. I ten nonsens przekształcony w intencję demaskacyjną tutaj bardzo dobrze był podsycany. Niemniej ja sam któregoś ranka podejmuję taką decyzję, że napiszę oświadczenie i oznajmiam to swojemu prowadzącemu śledztwo, którym był major K. pamiętam jak dziś. Ten sam, który prowadził Irenę wcześniej i miał taki wygląd psychofizyczny, który na mnie dobrze działał. To znaczy są takie relacje, również fizyczne, między mężczyznami, ja się gorzej czuję w towarzystwie podobnych do siebie, a taki okrągły pyknik działa na mnie dobrze, on bardzo szybko zdobył moje zaufanie. I on oczywiście to, jak rozumiesz, przyjął. I teraz, jaki jest motyw? Jest oczywiście taki motyw ukryty, tzn. że ja byłem w stanie dużo zrobić w imię swojej miłości. Muszę to powiedzieć i odłożmy to na bok. Byłem w stanie dobrze podsycanej egzaltacji. Bo major K. mi listy przynosił na każde prawie posiedzenie, zapewniając mnie, że to idzie poza kontrolą. Ja byłem w stanie takiego zidiocenia, że w to wszystko wierzyłem. Mieliśmy do czynienia z dobrymi fachowcami i w końcu nie bili. A może wtedy by to wszystko inaczej się potoczyło, gdybym się spotkał z upokorzeniem fizycznym lub psychicznym. A tu cały czas spotykałem się – i to było bardzo dobrze rozegrane – z takim skutecznym podsyceniem. Jaki był pomysł z tym oświadczeniem? Z tym oświadczeniem pomysł był, jeśli cokolwiek jest w tym racjonalne, a spróbuję jednak cokolwiek w tym znaleźć, taki mianowicie: po pierwsze pomysł był taki, że ja oddzielałam ludzi od struktury sytuacji. Chcę, żebyś dokładnie rozumiał, że ja wiem, że skutek był dokładnie odwrotny od zamierzeń. Ale przedstawiam zamierzenia. Ja wtedy myślałem, że... choć bardzo szybko potem zdałem sobie sprawę, że skutki były odwrotne od zamierzonych, i do dziś to wiem, ale wtedy myślałem, że mi się uda to rozciąć. Że sposobem na rozcięcie jest analiza warunków, w których ta młodzież

się wychowywała, i przeniesienie odpowiedzialności wyżej. Ta trzecia konstrukcja, już sporządzona jako konstrukcja quasi-literacka, łącznie z narratorem, była jakby przeniesieniem odpowiedzialności na klimat literacko-polityczny, tak to powiedzmy. I to było tak, że mnie się wydawało, że ja piszę mowę obrończą, a napisałem akt oskarżenia.

K.M.: Nawet nie akt oskarżenia. Ty napisałeś bardzo sprawnie zrobiony, namiętny pamflet propagandowy.

A.M.: Niestety tak to zostało napisane. Ja byłem mało odporny. Jednym z powodów było też to, że ja przez te 3-4 miesiące byłem na wolności, czytałem te gazety, analizowałem to, dyskutowałem, odrzucało się to, ale jednak widziało się, że aparat został wymieniony.

K.M.: Ale mnie się wydaje, że ty byłeś mniej odporny z takiego powodu, o którym powiedziałaś na początku, z powodu tej nowej generacji, która wtedy była promowana. Dlatego, że ci ludzie byli ci jakoś biograficznie i kulturowo bliżsi.

A.M.: Tak.

K.M.: Ta generacja pełniej wyraziła się w czasach Gierka, bo w czasach Moczara nie. Awans jednak dokonywał się pod sztandarem o wyraźnie faszystowskim zabarwieniu i w tej formule nie było niczego, co mogłoby budzić nadzieje człowieka o takim nastawieniu jak ty. Natomiast kulturowo to, co można było zobaczyć w czasach Gierka, oni byli po prostu bliżsi normalnym Polakom, niż ci, co byli bardziej ideowi, ale bardziej obcy panoramie tego społeczeństwa, ludzie wywodzący się jeszcze z przedwojennego korpusu. Przedwojennego czy nawet okupacyjnego.

A.M.: Był jeszcze jeden taki motyw obcości, o którym nigdy nie mówiłem, ale teraz ci powiem, który ja odbierałem też bezpośrednio w tym okresie marzec-czerwiec przed aresztowaniem, kiedy bywałem w tych starych kręgach. To był taki motyw reakcji na to, co się tu dzieje teraz i na to, co się działo w latach 50. Chcę ci powiedzieć, że nie uważam tego za żadne usprawiedliwienie. Na przełomie lat 40. i 50. mój dom w Jeleniej Górze uległ rozbiciu. Warsztat krawiecki mojego ojca został zlikwidowany, jego samego zamknięto, a ja zostałem do Żar, do siostry przeniesiony. I w związku z tym miałem też wizję tych lat jako dość nieszczęśliwych, choć bez jakichś wielkich urazów, miałem doświadczenie więzienia jako czegoś upokarzającego, bo tak odbierałem uwięzienie ojca. To była pewna podstawowa różnica z tym środowiskiem, które wyście reprezentowali. Kiedy mnie zatrzymali po manifestacji „Dziadów”, w komisariacie na Wilczej jakieś 2 czy 3 godziny, to u

Ireny cały wianuszek czekał na herosa. Ja tam przyszedłem i w ogóle nie wiedziałem, o co chodzi. Ponieważ oni zachowywali się tak, jakbym ja został konsekrowany, a dla mnie to była zwykła milicyjna przygoda...

K.M.: W tym oświadczeniu były wszystkie wątki składające się na najczarniejszy scenariusz propagandy. Tam był i wątek tych dygnitarzy stalinowskich żydowskiego pochodzenia, którzy chcą odzyskać władzę i co z tym ma wspólnego ten żydowski w przeważającej mierze skład narodowościowy grupy komandosów, jakkolwiek oni są traktowani jako instrument, bo oni rękami znacznych pedagogów, to był Bauman i Schaff, którzy wypisywali w głowach tych dzieci – to jest ładne sformułowanie – własny poemat pedagogiczny. Więc jak to jest, przepraszam, że cię o to pytam, czy ty w to wierzyłeś, jak to pisałeś, czy to było na zasadzie takiego podhajcowania, że tak piszą i że ty wchodzisz w pewien szablon, do pewnego stopnia literacki, czy w to wierzyłeś po prostu?

A.M.: Myślę szczerze, że w znacznej mierze wierzyłem. To znaczy wierzyłem o tyle, o ile pisałem, tak mi się to składało wtedy. I jak mi się składało to w to wierzyłem, ja zresztą inaczej nie umiem pisać. Ja rozwiązuję zagadnienia wtedy, kiedy piszę. Kiedy dochodzę do pisania, to jestem niegotowy, jestem podszykowany. A jeśli to się układa w trakcie pisania...

K.M.: Czy to, że przeżyłeś taki epizod nie czyni cię bardziej tolerancyjnym?

A.M.: Nie tyle jestem bardziej tolerancyjny, ile staram się zrozumieć, że ludzie z różnych motywów, różnych sytuacji mają różne wypowiedzi. Żeby tak powiedzieć, jak dziś w socjologii wiedzy czy kultury: wszyscy są pozycyjni i z jakiejś pozycji coś mówią i to co mówią wynika z zaplecza tej pozycji. Ale zapewne znalazłem się w pobliżu, lub zgoła w centrum plemiennie-etnicznego widzenia problematyki żydowskiej, a dziś nie mam na takie plemiennie-etniczne widzenie żadnej tolerancji. Mam radykalnie przekształcony sposób widzenia tej problematyki.

K.M.: Ale taki przekształcony sposób widzenia miałeś już przed tą historią?

A.M.: Nie do tego stopnia, jak się okazało. To znaczy mnie się pewne rzeczy wydawały i nam się chyba wtedy w ogóle wszystkim wydawało, że ta problematyka nie istnieje.

K.M.: Rzeczywiście tak się wydawało czy też wypierało, w sensie psychologicznym, że ona nie istnieje.

O sędziach, którzy mnie skazali. Jak ten skład został wyznaczony to adwokat powiedział tak: panie Karolu to jest najlepszy skład sądu wojewódzkiego dla miasta

Warszawy. Ja pytam: co pan ma na myśli? On mówi: to są najlepsi prawnicy w tym sądzie. I to było tak: przewodniczył temu pan Wiesław chyba Sikorski, on nie miał prawej ręki, bo ją stracił w powstaniu. Miał podobno nawet jakieś odznaczenie za powstanie, Krzyż Walecznych czy coś innego.... Pamiętam Deptułę, takiego młodego, inteligentne wrażenie sprawiającego sędziego, który ponoć pisał uzasadnienie do tej części umarzającej, obecnie jest sędzią Sądu Najwyższego. I ich postępowanie było takie, że oni prowadzili tę sprawę z wielką kulturą, takie można było odnieść wrażenie, nie wiem, czyś ty na to zwrócił uwagę, ale były różne takie gorące, konfliktowe elementy...

A.M.: Tylko tyle pamiętam, że to moje odwoływanie zostało przez nich życzliwie przyjęte, że ja nie byłem źle traktowany, chociaż im coś zabierałem.

K.M.: Oni w ogóle ...reagowali tak, jakby chcieli wypchnąć ten cały propagandowy aspekt z procesu. I uzasadnienie napisali bardzo przyzwoite do wyroku, skazującego oczywiście, natomiast sentencja była niezgodna z uzasadnieniem, bo oni uznali za organizację formalną coś, co w myśl uzasadnienia wyroku powinno być uznane najwyżej, jako wykroczenie. Przy czym jest jasne, że między nimi a wydziałem administracyjnym KC czy jakimiś pomagierami sekretarza funkcjonowała wtedy linia telefoniczna. I sędziowie przypuszczam ich przekonali, jak sądzę, że nie ma sensu nas skazywać z art. 5 kodeksu karnego (czyli o ten trockizm), bo nie ma na to materiałów, że lepiej będzie to umorzyć powołując się na to, że to już było rozpatrywane przez poprzedni sąd, który nie dopatrzył się w pełnomocnym wyroku tego przestępstwa, które się chce widzieć teraz, na tym samym materiale dowodowym. Oni musieli mieć udział w kształtowaniu tej wygodnej formuły. I wiesz jak teraz się mówi o weryfikacji sędziów, którzy naruszyli niezawisłość sędziowską, to ja myślę, że oni starali się kawałeczek tego swojego poczucia przyzwoitości i tego zawodu, uratować. I tej dwuznacznej, bardzo dwuznacznej roli, jaką oni pełnili, ja zawdzięczam przynajmniej półtora roku ze swojego wyroku a nie jest tak, że ja bym tego półtora roku nie odsiedział... Myśmy wyszli wprawdzie wcześniej, bo wyszliśmy po trzech i pół roku za drugim razem, ale myśmy najpierw odbyli tę odwieszoną część wyroku pierwszego, która została zawieszona. I znowu później zostaliśmy wypuszczeni wcześniej na zasadzie zwolnienia warunkowego. To nie jest prawdą, jak mówią różni ludzie, że skoro był Gierek, to my musieliśmy wyjść. Nieprawda. I teraz tak: jak ja mam popatrzeć na to z punktu widzenia rygoryzmu prawnego-moralnego to muszę powiedzieć, no, s.....syny, skazali mnie. Nie oni, to inni by mnie skazali, ale po co się

względnie przyzwoici ludzie moczyli w taką sytuację? Ale jak to mówi ktoś inny to mnie wnerwia, bo ja uważam, z perspektywy moich lat przesiedzianych, że półtora roku też piechotą nie chodzi. Więc ja może wolę, żeby oni postawili się w tej dwuznacznej sytuacji, niż żeby przyszedł inny, który by mnie skazał na 5-6 lat i ja bym jeszcze to półtora roku odpukał, zanim by przyszedł czas warunkowego zwolnienia i Gierek by mnie zwolnił. Muszę ci powiedzieć, że nie znajduje to przeważnie zrozumienia u moich rozmówców, zacietrzewionych bardzo antykomunistycznie i nie tylko takich...

A.M.: Ale może wróćmy do mnie. Mówiłem tam o tym więzieniu mojego ojca i o takim przeświadczeniu, że więzienie nie nobilituje. Posadzili go za jakieś niedomiary czy coś takiego... półtora roku siedział, o ile dobrze pamiętam, a ja przyjeżdżałem do Jeleniej Góry i chodziłem po Alei Wojska Polskiego, to było więzienie lokalne, znajdowało się za gmachem sądu i ja go tam widziałem w okienku, machaliśmy sobie. Cała ta sytuacja zostawiła we mnie takie poczucie upokorzenia, wszystko to razem było okropne. Bo on na dodatek tam nie siedział za poglądy, opozycję, za żaden patriotyzm, nic takiego.

K.M.: Za działalność gospodarczą.

A.M.: Tak, za jakiś brak nadzoru, coś takiego. Więc tutaj niewątpliwie to na mnie ważyło, że ja w ogóle nie czułem żadnego heroizmu więzienia, a wręcz przeciwnie. Jeszcze ci dwaj faceci, z którymi miałem do czynienia w celach, tzn. ten pierwszy kapuś i ten drugi, którzy niezależnie od mojej nieprzytomności i jakiejś zapewne tam skłonności na ich sugestie, sprawiali na mnie odrażające wrażenie jako ludzie, co dobrze pamiętam, jako ludzie stłamszeni przez więzienie, bo jeden siedział już jakieś 6 lat, drugi też coś takiego. Krótko mówiąc, ja też w różnych warstwach moich reakcji chciałem jak najszybciej stamtąd wychodzić. To niczemu nie służy – myślałem o swoich bliskich i o sobie samym też. To niczemu nie służy, to nie jest żadna wartość, tu nie ma czego bronić. To jest jeden z wątków. Drugi wątek wiąże się też z latami pięćdziesiątymi, bo ja mam ciemny obraz tych lat 50., poza ojcem w więzieniu, to były lata najgorsze. A tu w marcu, kwietniu działa ta karuzela, w której wyrzucają z tych stanowisk ważnych starych towarzyszy. I ja jestem raz czy drugi w tym kręgu i widuję ich takich wystraszonych, bo albo już ich wyrzucili, albo oczekują, że coś takiego nastąpi. I od jednego z nich słyszę taką tyradę, jaki to jest straszny ustrój.

K.M.: To jest komiczne.

A.M.: Ale ta tyrada była bardzo szczerą. Wtedy ja pomyślałem: a w latach pięćdziesiątych nie był? Jak skazywali ludzi masowo, jak mój ojciec siedział, to nie był? I wtedy też przytrafia mi się taki epizod cokolwiek literacki. Jest ten wieczór, w którym usłyszałem właśnie tę straszną tyradę byłego działacza o tym, jaki to w ogóle jest straszny ten ustrój, pomyślałem sobie, że co to za odkrycie i wyszedłem. Rzecz się działa w Alei Szucha, tuż zaraz jest plac Unii Lubelskiej, na rogu Szucha i Marszałkowskiej był taki bar „Pod dwójką”, dość poręczny. I taki dość rozdygotany wchodzę do tego baru, bo mnie ten facet wk...ił, żeby sobie wypić jakąś wódkę i się uspokoić i – przepraszam, że ci to powiem – wchodzę do baru, a to jest druga połowa marca chyba i huśtawka jest również w tak zwanych nastrojach społecznych, a tam siedzi motłoch i ten motłoch na pół pijany śpiewa na jakąś antyżydowską nutę.. I ja wychodzę stamtąd, nie napiłem się tej wódki, bo po prostu mnie zmierziło. I mam takie poczucie przez całą drogę do domu – do pokoju w tej piwnicy – że ja nie mam k..., miejsca w tym kraju. Tam nie jestem i tu też nie.

K.M.: Ciężko było. Powiem ci, że nie tylko tobie, choć wtedy wyglądało, jakby tylko tobie było ciężko.

A.M.: Wtedy wyglądało jakby tylko to było: tu i tam.

K.M.: Była nadwrażliwość z jednej strony, ponieważ to były dzieci komunistów, często inteligencji spolszczeni, ale mający problemy z integracją z resztą społeczeństwa ze względu na przesady rasowe i w związku z tym byli strasznie podatni z jednej strony na każde hasło internacjonalistyczne, a z drugiej strony nadwrażliwi na antysemityzm. Ale w społeczeństwie do dziś jest to temat wstydlivy i się udaje, że w ogóle tego nie ma, podczas gdy to się w oczy rzuca, a jest to u nas mocniejsze niż w krajach zachodnich. Na pewno słabsze niż w Rosji, na pewno mniej niż na Ukrainie. Trudno, tak jest.

A.M.: Nie dalej jak wczoraj miałem seminarium, na którym omawiano projekt pracy magisterskiej, której przedmiotem ma być „Życie nieartystyczne” Grynberga, czyli właściwie te jego wypowiedzi publicystyczne, eseistyczne, i „Umschlagplatz” Rymkiewicza. Przy okazji tej dyskusji wyszło, jak to jest trudna sprawa, ile tu jest węzłów splecionych, jak ona jest przemilczana, i jak jest obolała. Dla mnie zresztą klasycznym, bardzo drobnym, a przez to bardzo wyraźnym przykładem, jest kwestia nazwy języka. Po polsku nie mówi się, że pisarz Singer pisał w języku żydowskim, tylko w języku jidysz. To jest nieświadomość, to jest lęk przed nazwaniem, przed nazwą, uznawaną za obciążającą.

K.M.: Myślisz, że to o to chodzi? Jak słyszysz, że ktoś się nazywa Blumsztajn, to wiesz automatycznie, że to jest Żyd.

A.M.: Nie, właśnie problem polega na tym, że ja operuję pewnym rozróżnieniem.

K.M.: Nie ty, ale większość powie, że to Żyd. Jak słyszy Staniszkis, nie powie: Litwinka. Jak słyszy, bo ja wiem, Szeremietiew, nie powie Rosjanin. I to jest w języku, to jest bezrefleksyjne. Ja mam takiego kolegę z klasy, Tadka G., bardzo byliśmy zaprzyjaźnieni, on został na zachodzie, zrobił w pewnym sensie karierę, bo jest bardzo zamożnym i cenionym profesorem biochemii, konsultantem różnych firm. I ożenił się z dziewczyną... Sam był z rodziny biednych chłopów z okolic Mińska Mazowieckiego, którzy przez okupację przenieśli się do Warszawy, ożenił się z dziewczyną z wyraźnie żydowskiej rodziny we Francji. I ona troszeczkę tych polskich słów załapała. I jak przyjeżdżali do Polski, do rodziny, on mówił zawsze że nie ma wcale takiego antysemityzmu, ale jak on jej tłumaczył, co mówili, to co chwilę musiał się cenzurować. Bo jak przetłumaczy dosłownie, to wyjdzie, że to jest antysemickie. W naszym języku, w kulturze to jest po prostu.

A.M.: No dobrze, ale czy w tej sprawie możemy wrócić do mnie, bo cała sprawa polskiego antysemityzmu i relacji wzajemnych jest oceaniczna. Czy ty odebrałaś i te zeznania i to oświadczenie jako antysemickie?

K.M.: Tam był ten element. W zeznaniach – nie, w oświadczeniu jest bardzo wyraźny ten element. Ja miałem wrażenie, co zresztą potwierdzasz, że ty – zapewne nie do końca, to jest trochę schizofreniczne, że wyobrażałem sobie ciebie trochę jakby było was dwóch. Czy jeszcze przed procesem, po przeczytaniu, czy już potem, kiedy myślałem o tym retrospektywnie, ale miałem takie wrażenie wyraźne, że musiałeś ich schemat wziąć za dobrą monetę. To musiało być dla ciebie schematem wystarczająco przekonującym. Zapewne później to odwróciłaś, ale to nie było coś kompletnie absurdalnego dla ciebie, czego ty byś nie mógł dopuścić jako kanonu wyjaśniającego, który wzięłaś przynajmniej z częściowym przekonaniem. Takie miałem wrażenie. To jest nieodłączny, że tak powiem, element scenariusza ogólnego, co dla nich było absolutnym darem, oni niestety nie mogli – z ich punktu widzenia - tego opublikować pod twoim nazwiskiem, cytowali, ale...

A.M.: Nie oni, ale potem literaci partyjni polscy proponowali mi tę publikację, na którą się nigdy nie zgodziłem. Ja to dostałem w roku 1971, jak się władza zmieniła, to napisałem list do ówczesnego osobnika nr 2, czyli do Franciszka Szlachcica, bo mnie zginęły pewne listy, a tego oświadczenia też nie miałem. On mnie przyjął na skutek

tego listu i mi dał egzemplarz, ale listów moich mi nie zwrócono. Otrzymałem odpowiedź, że one się tam nie znajdują.

K.M.: Ale co innego są akta sądowe, a co innego śledcze.

A.M.: Ale ja pisałem do MSW, a nie do sądu. Zarzut antysemityzmu, który się także pojawił w druku u Jacka jest dla mnie bardzo bolesny. Dlaczego? Dlatego że ja mam pewną szczególną wrażliwość na tę sprawę i mam też pewien szczególny pogląd. Wrażliwość moja jest w tym sensie tajemnicza, że ja, o ile mi wiadomo, genealogicznie nie mam żadnych przodków żydowskich, mam natomiast od najmłodszych lat bardzo dobry kontakt i zawsze przyjaciół, w szkole, na studiach i gdzie indziej. Tylko ja zawsze rozróżniam Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego i to rozróżnienie jest kardynalne. Ono jest kardynalne do tego stopnia, że ja uważam, że ja w ogóle Żydów nie znałem, bo ja nie znałem żadnych ortodoksyjnych Żydów z diaspory. Ja znałem Polaków pochodzenia żydowskiego, lepiej lub gorzej zasymilowanych. Tak jak są Polacy pochodzenia litewskiego, niemieckiego – ja prawdopodobnie jestem niemieckiego itd., itp. .. I pewnie tajemniczy fluid spowodował, że tutaj w tym środowisku studenckim, które liczyło wtedy kilkadziesiąt tysięcy osób, bardzo szybko się też znalazłem w tym kręgu i to jako ktoś, jak wiesz, lubiany i przyciągany i przyciągający.

K.M.: Myślisz, że to ma związek z tymi problemami, że tam było tak dużo osób wywodzących się z rodzin nie do końca asymilowanych

A.M.: Ale wróćmy do tej kwestii antysemityzmu. Więc ja myślę w związku z tym, że ja nie tylko nie jestem antysemitą, ale nawet nie potrafię nim być. W tym sensie, że to mi emocjonalnie nie przychodzi. I znowuż - ja cię jeszcze raz zapewniam, że nie jest moją intencją bronić tego, co tam napisałem - ale ja patrzyłem na sytuację tej grupy jakby na sytuację kulturową, a nie na sytuację etniczną.

K.M.: Ale użyłeś schematu, który nie był twój, który przyszedł do ciebie z zewnątrz. Znaczący mam na myśli schemat interpretacyjny, który ty kupiłeś.

A.M.: To ja przepraszam, bardzo jest mi przykro.